

...nie pozwolił mi skończyć ze strachu

Zofia Grzesiak

Już minął bardzo długi czas, jak Praczycha uciekła z miejsca zagłady. Już nie tylko straciła wiarę w powrót do normalnego życia, ale zgubiła nawet rachubę czasu. Nie wiedziała jakie są miesiące, jakie są święta. Dowiadywała się tylko od Stiopy, że tego a tego dnia prawosławni obchodzą takie czy inne święto uroczyste lub mniej uroczyste. Ale o swoich świętach nie wiedziała, w jakich dniach popadają i nawet o nich nie myślała — czy to był czas na myślenie o świętach?

W swoim domu uroczyste święta zawsze wyprawiała bardzo kosztowne; aż jej w głowie się mąci jak pomyśli, jakie były kosztowne i jakie piękne. Nigdy nie skąpiła grosza, by święteczny stół ugiął się od smacznych potraw, słodczy i wszelkich owoców sprowadzanych z zamorskich krajów. Nie brakowało słodkich winogron, daktyli, rodzynek, fig, migdałów i świętojańskiego chleba. Z Saren przywoziła całe pudła czekolad, które bardzo lubiła. Zamawiała też u cukierników wyszukane ciasta i sama w domu też nie mało piekła. Poza tym na stroje też nie mało grosza wydawała. Na każde uroczyste święto, szczególnie na nowy rok czy na jomkipur lub na pejsach, szyla sobie u najlepszych krawców, z najlepszych welen, z aksamitu czy jedwabiu w różnych kolorach: od białych jak śnieg po niebieskie jak niebo, czy czarne jak jej dzisiejsze dni. Suknie były długie, powłóczyste, każdego roku inne, żeby w tych samych nie pójść do bożnicy, żeby broń Boże żadna z modlących się nie miała takiej samej.

Ale to wszystko było, minęło i już nigdy nie wróci. Już nigdy nie będzie ani tych świąt, ani tych strojów, nawet wspomnienia wkrótce zaginą.

Teraz siedzi w leśnej, ciemnej jak grób ziemi, je tylko chleb, czasem świeży, czasem stępsły, twardy jak kamień, od czasu do czasu — bliny z gryczanej mąki, zalatujące Stepanowym potem, gdyż Stiopa trzyma je za pazuchą, żeby Ulita, jego żona, nie zobaczyła, że nie tylko chleb, słoninę, gotowane mięso, ale nawet gorące bliny wprost z patelni Żydówce wynosi.

Kiedy Stiopa opowiadał, że Ulita go spytała, czy z tą Żydówką nie żyje?, bo z nią, z własną żoną, wcale... i pokłóciła się z nim o to.

Nie myliła się Ulita. Między nią a Stiopą już dawno nastąpiło zbliżenie, choć było to wbrew jej woli, ale nigdy się nad tym nie zastanawiała, gdy łączył ich wspólny interes, wspólna gra. Oboje ryzykowali życiem. Jego ryzyko było nawet większe; ona już była zaszczona, ona już miała zatwierdzony bezapelacyjny wyrok śmierci, on natomiast nie podlegał żadnej karze, tylko sam dobrowolnie skazał się na śmierć przyjmując to wielkie ryzyko, by ją, tę wyklętą Żydówkę, uratować od śmierci.

Sosia się nie zastanawiała, czy Stiopa kierował się chęcią zysku, czy jakąś inną pobudką, lecz faktem było, że zaryzykował swoim życiem i życiem swojej rodziny, że postawił na jedną kartę, że albo ją uratuje, albo nie dać Boże sam zginie. Jakby nie było, tyle trudu jej poświęca i bardzo często z nią przebywa,

a przecież ani on, ani ona nie byli starzy. Byli jeszcze w takim wieku, że od czasu do czasu coś się przyśni, a ciało zaczyna domagać się swoich praw, zwłaszcza gdy dwoje ludzi złączy na osobności — obojętnie, szczęście czy nawet wielkie nieszczęście. A że Stiopa przebywał więcej w ziemi niż w domu, musiało dojść do zbliżenia i doszło.

Na początku chodził koło niej nie jak mężczyzna, tylko jak siostra miłosierdzia koło ciężko chorego. Dokładał wielkich starań, żeby ją odchuchać, odkarmić, żeby koniecznie nabrała ciała, żeby się stała taka sama, jak wtedy, kiedy przyjeżdżała do niego wypasionym koniem o lśniącej sierści, zaprzężonym w bryczkę po złoto. Sam nawet nie wiedział, dlaczego mu na tym zależy, żeby ta bogata Żydówka stała się znów taka sama, jaką ją dawniej widział, za jaką kiedyś wodził oczami. *Czy mi się uda?* — zastanawiał się nieraz, niosąc jej coś dobrego do jedzenia. Nigdy by się nikomu nie przyznał, że chciałby, żeby się stała znowu ładna, czupurna, taka jaką była dawniej. Patrząc na nią myślał: ot baba... Ot, powalić się z nią gdzieś na świeżym sianie, albo w lesie, czy w pachnącej koniczynie, obojętnie gdzie, byle tylko móc z nią pobaraszkować, polaskotać ją po tej białej okręconej złotym łańcuchem szyi.

Nie spodziewał się wtedy, ani mu przez głowę nie przeszło, ani mu się nigdy nie przyśniło, że przyjdzie taki czas, że nawet nie silą a dobrowolnie będzie mógł robić z nią co mu się tylko spodoba. I doczekał się.

Może ją przechowywać, może ją karmić, może ją całować ile chce, może napluć jej w oczy, może ją rozebrać nago i wygnąć z ziemlanki, może ją nawet zabić. Czy nie do niego teraz należy? A do kogo, jak nie do niego? *Jestem jakby jej włodarzem* — myślał śpiesząc do niej, by nie siedziała sama, by się nie nudziła, by czas jej prędko schodził. Długo, o długo trwało, nim Praczycha doszła do siebie i przestała myśleć o śmierci, nim jej ciało przestało ropieć.

Nijak nie mógł sobie rady dać z jej wrzodziankami, które bez przerwy ją atakowały. Jeszcze jedna wrzodzianka nie pękła, jeszcze jedna rana nie obeschła, a już druga wyskoczyła obok. Co nie robił, czym nie poił, jakich ziół nie przykładał — nie pomagało. Czyraki wciąż od nowa, jeden obok drugiego, to na piersiach, to na szyi, na plecach. Nieraz przechodziło mu przez głowę, że może jakiejś francji w tym getcie, w tym zbiorowisku się nabawiła, albo może pod tymi lśniącymi spódnicami, noszonymi niegdyś przez zadziorną Praczychę, gnieździła się ta franca — ale nie, te miejsca, gdzie lubi się ona gnieździć, były czyste. I na przyrodzeniu i w pobliżu ani jednego pryszczyka nie było. Wszystkie dokładnie obejrzał, żeby się upewnić, czy to nie jakaś zaraza.

Przez całutką zimę męczyła się Sosia z tymi ropnymi wrzodami. Wyla z bólu, kiedy Stiopa obmywał rany lub wyciskał ropę. Nie mógł słuchać, kiedy jęczała, kiedy prosiła: *Zrób coś Stepane, żeby mnie tak nie szarpało*. Ale nieraz ze złością odpychała go od

siebie krzyżąc: *Odwal się z łapami, ho masz łapy jak rzeźnik. Myślisz, że jestem świnia, a ty ją szpikulcem.* Wtedy prosił: *Pocierp, Sosia, inaczej nie można. Onucka przyszyła do rany, trzeba ją oderwać, ranę trzeba obmyć, horsuczysz sadłem pomarować i czystą szmatką zahandażować. Prędzej się zagoi.*

Aż do wiosny trwała ta mitrega. Kiedyś przyszło mu do głowy, że trzeba będzie pójść do Niedbalskiego. Francuz uciekł, ale jego felczer został na miejscu. Powinien jeszcze mieszkać jak nie obok pałacu, to gdzieś w pobliżu. Zaniesie mu kawałek słoniny, trochę gryczanych krup i poprosi o radę. Nikomu nic nie mówił, nawet Praczychę nie wtajemniczał, powiedział jej tylko, że jutro nie przyjdzie do niej w zwykłym czasie. Być może, że się spóźni, albo może wcale nie przyjdzie. Ma bardzo pilną sprawę do załatwienia. *Ty się, Sosto, tylko nie hój i nie turbuj. Siedź spokojnie, albo wypij kieliszek spirytu, żebyś mogła mocno zasnąć. Butelka ze spiritem stoi pod ścianą.* Przyniósł kiedyś do obmywania czyraków, ale gdy kropla na ranę spadła, Sosia jeszcze bardziej widziała.

Felczera zastał, jak przewidywał, w domu, tylko jakoś się on zmienił. Postarzał się, zgarbił. Włosy mu na głowie posiwiły i zmarszczył bez liku na czerwonej niegdyś, dobrze wypasionej twarzy przybyło i jakby ogłuchł, stał się głuszanem i nogę ciągnął, jakby wrócił z frontu. Ale jakoś dogadał się z felczermem, któremu aż oczy zaświeciły jak wilkowi w nocy na widok grubej słoniny, którą wyjął z czysto wypranej torby.

Na początku felczer Niedbalski mędrkował, że musiałyby na własne oczy to wrzody obejrzeć. Wtedy by wiedział, jaką maść zastosować. Radził, że najlepiej będzie chorą przywieźć do niego jutro z samego rana, wtedy on ją zbada, obsłucha i będzie wiedział, czy to świerzb, czy popsuta krew, czy może coś na tle wenerycznej bolezi. *Wiesz przecież, miley mój — powiedział felczer — że w czasie wojny wszelkie zaraźliwe choroby atakują ludzi, nawet bez ich winy.* Stiopa przysięgał, że ani świerzb, ani franca, tylko zwyczajne czyraki, które nie wiadomo skąd się wzięły: czy z wody, czy z powietrza, czy Bóg wie skąd. Przywieźć chorej nie może. Woly mu Niemcy zabrali, a koni nigdy nie miał.

Felczer dał się przekonać. Kazał mu zaczekać, a sam zaczął szukać, stękając, po szafkach. Powyciągał blaszane pudełka, w których trzymał różne lekarstwa i znalazłszy co mu było potrzebne, przygotował maść i jakieś jeszcze krople i kazał, by tą maścią dwa razy dziennie smarować te wrzody, a krople dawać na noc, po dwadzieścia na łyżkę wody. Chora po tych kroplach będzie spała.

Stiopa okrężnymi drogami biegł szybko z powrotem i żeby nikogo nie spotkać ze swoich, poszedł manowcami przez Francuza las, przez bród, i na Rychtę, i do zagajnika, w którym znajdowała się ziemianka, w której od przeszło dziewięciu miesięcy przechowywała się Praczycha.

Jeszcze kilka tygodni Praczycha męczyła się z tym ropnym paskudztwem, ale maść jednak pomogła. Jej ciało przestało puchnąć, czerwienić się i ropnieć, nawet zła sina skóra się złuszczyła i narosła świeża. Praczycha wyzdrowiała, poprawiła się, odmłodziła i bardzo wyładniała. Któregoś dnia Stiopa, pojąc ją brzozowym sokiem zaprawionym miodem, spojrział na nią z lekkim upodobaniem i niemalże z zachwytem powiedział:

— Czy ty wiesz, Praczycho, że jesteś jeszcze młoda i bardzo ładna, choć ci tych kilka złotych zębów brakuje? A może mi się tylko tak zdaje, a może mam zdrakuny w oczach... Jeszcze trochę a wydobrzejesz, to i tobie do chłopca się zechce... No nie?! Praczycho, jak myślisz? Strach strachem, bojaźń bojaźnią, a ciało ciałem... Myślę, że może te wrzodzianki przez to, że nie było komu twojej krwi precedzić. Myślę, gdyby i teraz ktoś twoją krew precedził, nie męczyłabyś się tyle i ja bym się tak z tobą nie męczył. Nieraz myślałem, że zgłupieję od twoego skowytania, aż mi głowa bolała od twoego jęczenia.

— Czy ją skowytalam? Nie pamiętam. Bolało, cholernie mnie bolało. Gorzej niż tyfus. W tyfusie traci się przytomność i nie

czuje się bólu, a tu wszystko boli, ani siedzieć, ani leżeć, a głowa przytomna, wszystko rozumie, wszystko pamięta. Ale mimo wszystko, Stepane, jesteś dobrym, bardzo dobrym, aż mi się wierzy nie chce, że w tym wrogim świecie może się znaleźć taki Stepan, który przyhołubi Praczychę i będzie ją nianczył jak dziecko. Powiedz mi, Stiopa, czy ty się nie brzydził moim śmierdzącym ciałem?

— Nie brzydziłem się, tylko się bałem. Myślałem, że może zdybałaś gdzieś francę, że może franca cię toczy, ale sprawdziłem, jej Bohu, sprawdziłem. Zjrzałem tu i tam. Obejrzałem wszystko dokumentnie i zniarkowałem: gdyby była franca, najwięcej tego paskudztwa byłoby na przyrodzeniu, a tam na szczęście ciało było czystuikie jak wykoszerowane i wtedy pomyślałem: dzięki Bogu, Praczycha się z tej biedy wygrzebie. Jeszcze będzie z niej baba, hej... hej... i że mi się kiedyś odwziedczy czymś fajniejszym niż pieniądze — zarechotał przykręcając wąsa.

Praczycha się nie śmiała. Frywolne słowa, które coraz częściej padały z ust Stepana, już nie robiły na niej wrażenia. Choć pojęła, do czego Stiopa zmierza, nie miała mu tego za złe, gdyż wiedziała, że inny na jego miejscu postąpiłby z nią całkiem inaczej: albo siłą zrobiłby co chciał, albo wzięwszy od niej zapłatę przekazałby ją szybko Niemcom, albo mołojcom, którzy nie gorzej rozprawiali się z Żydówkami niż Niemcy.

Nadeszła zima, której Praczycha bardzo się bała, choć od żniw panował tu spokój — całkowity spokój, nawet kukulka przestała swoim kukaniem budzić o świcie ze snu, a i inne ptaki zacichły, tylko las w górze ciągle ponuro szumiał. Wszystkie przeżycia, wszystkie tortury myślowe stały się jakby nieco łagodniejsze. Przestała myśleć, że Stiopa odda ją kiedyś Niemcom. Przekonała się ostatnio, że Stiopie nie zależy nawet na korzyściach, które już ma, a które jeszcze może będzie miał.

Była pewna, że do końca swoich dni będzie mu się odwzięcała czym będzie mogła, a wierzyła, że reszta majątku, który posiada, wystarczy nie tylko jej do końca życia. Poza tym spodziewała się, że Żydzi w całym świecie, którzy tej klęski nie zasnali, pomogą tym, co się uratowali. Spodziewała się, że dla tych ocalałych niedobitków pomoc będzie płynęła ze wszystkich stron świata, że z tej pomocy coś niecoś kapnie dla jej zbawiciela.

Czyż Stiopa nie był jej zbawicielem? Przecież był litościwszy od samego Boga! Bóg skazał ją na poniewierkę, na pośmiewisko, na śmierć, a Stiopa wyrwał ją śmierci, dał schronienie, otarł łzy i zamiast torturować, lżyć, hańbić — pielęgnował, pocieszał...

Miała bardzo dużo czasu, żeby to wszystko dokładnie przemyśleć, a nawet zacząć troszeczkę wierzyć, że może jednak ujdzie śmierci. Przestała nawet się zastanawiać, co będzie po wojnie robiła. Zaczęła wierzyć, skoro tyle czasu przetrwała i nie zginęła, że po wojnie tym bardziej nie zginie, znajdują się ludzie, którzy tym, co cudem się uratowali, wskażą drogę, podadzą rękę i pomogą nauczyć się żyć. Bo żyć na pewno trzeba będzie, uczyć się od nowa, nawet do własnej mowy trzeba się będzie przyzwyczajać. Ale czy w ogóle jakiś Żyd będzie chciał mówić własną mową, która przez tyle lat była zaklęta i wyklęta?!

Jednego razu Stiopa przyszedł jakiś ponury. Kończył okrywać liśmi ziemiankę i usiadł na pniaku obok piecyka, który niedawno wymurował, i dokładając suchą korę brzozową pod sosnowe polana, zamyślony, smutnym głosem powiedział:

— Praczycho, jakoś mi dzisiaj bardzo marketno. Ssie mnie tutaj, w dołku...

— A to dlaczego? Może zachorowałeś, może zaziębiłeś się? — zapytała z troskanym głosem. — Chcę nawet zapytać, co cię gryzie, że siedzisz jakby ci ktoś kamień na szyi zawiesił?

— Może kamień, może i nie kamień, ale jakoś mi dzisiaj bardzo marketno. Coś mnie tutaj gryzie — dotknął palcem dołek pod piersiami.

— Może dowiedziałeś się czegoś? Może pokłóciłeś się z Ulitą,

g może, ktoś doniósł Niemcom? — błędąc dopytywała się z wielkim niepokojem i schylała głowę do jego rąk, które czuły było zbutwiałymi łśmi.

— Ulita mi też doskwiera — rzekł kiwając głową — i ma biedaczka rację. Cały majdan na jej głowie... Co ze mnie teraz za gospodarz, i co z tego gospodarci zostało, może wkrótce zupełnie szczętnie. Ale czy gospodarka będzie większa, czy mniejsza i tak gospodarzył na niej nie będę. Ona stanie się i tak kazonna, ale nie o to mi teraz chodzi — powiedział siadając przy niej.

— Czemu nie chcesz mi powiedzieć. Jestem pewna, że chodzi o mnie, że może Ulita ci zagroziła. Ja na jej miejscu też bym inna nie była... Powiedz, Stiopa, czy ona nie ma racji? Przesiadujesz ze mną dniami i nocami, a co jej po pieniądzech, które ode mnie dostałeś? Co jej po tych dolarach? Ona i tak ich nie będzie widziała — mówiła szybko, a jej dolna warga drząc posiniała, co świadczyło, że Praczycha się zlekła i zdenerwowała.

W ziemiance zrobiło się bardzo ciepło. Czerwony płomień trzaskając wesoło rozświetlał wnętrze ziemianki, jej czarne ściany, na których chybały się ich cienie.

— Wcale nie chodzi o Ulitę, o mnie chodzi — odezwał się Stiopa patrząc na buchający płomień, który rozgrzewał żeliwną blachę na czerwono. — Czuję, jakbym sam sobie z dobra woli stryk na szyję zacisnął. Gdybym się był spodziewał, że tak ono wyjdzie, poczebiłbym sobie, o!, tymi rękami — podniósł dlonie do góry, rozwierając szeroko palce — kamień do szyi, skoczyłbym z wysokiego brzegu do wody, z tego spod Kozitela. Widziałas jak tam wysoki brzeg, jak góra, a pod nim przepaść bez dna.

Praczycha nie przerywała. Zastanawiała się, co to się mogło nagle stać? Czuła jak jej serce zaczęło bardzo mocno bić; straciła nagle pewność, że przeżyje wojnę, zakradł się do niej niesamowity lęk. Zdenerwowana, odsunęła się od Stiopy. Jego bliskość zaczęła jej ciążyć. Stała się nagle bardzo daleka, bardzo obca... Milcząc patrzyła w ogień, który poprzednio bardzo lubiła, szczególnie wtedy, kiedy Stiopa klęcząc przy obmurowanym żelazniku rozpalał brzożową korę lub smolne luczywo. W ziemiance robiło się wtedy ciepło i jasno. Choć czerwien tych płomyków niejedno zło jej przypominała, to jednocześnie rozpraszała podziemną ciemność, przypominającą grób. Stiopa również milczał, tylko spod oka obserwował pobladałą twarz Praczychy. Po chwili się odezwał:

— Chciałbym ci coś, Praczycho, powiedzieć, do czegoś ci się po sekrecie przyznać, ale coś mnie wstrzymuje. Nie wiem: z jednej strony mam wielką ochotę, z drugiej zaś się boję, choć jesteśmy z sobą bardzo blisko, choć znam cię może tak samo, jak twój Jankiel, choć po dobra woli zgodziła się żyć ze mną w wielkim grzechu, ale tak wono jakoś wyszło. Może to było dobre, może i źle... Często, orząc w polu, myślałem o tym. Sam nie wierzyłem, że coś takiego mogło się stać. Sam się dziwiłem, że ja, Stepan — muzyk w łapciach, będę żył z tobą, Praczycho, lepiej niż z własną żoną, że ty Praczycho będziesz mnie wyglądała i na mnie czekała, a ja nie będę mógł się doczekać zachodu słońca, żeby jak najprędzej pobiegnąć do ciebie w cwał. Jak do tego doszło?, myślałem orząc, że Stepan — muzyk w papciach z Praczychą za pan brat, że ja, Stepan — muzyk w łapciach, znam jej ciało prawie, jak jej Jankiel. I to nie siła, a z dobra woli garnie się do mnie, jak do swojego. I jak widać, moja bliskość uzdrowiła cię. Diaku Bohu za to, że moja bliskość nie tylko zlema, ale i czemuś dobremu się posłużyła.

Westchnął Stepan, choć wzdychanie nie było w jego naturze. Lubiał śmiać się, żartować i szybko wpadać w złość, szczególnie wtedy, gdy sobie coś przypominał z młodości.

— Chodź, Stepane, usiądź tu koło mnie — wyciągnęła do niego bladą, przetykaną niebieskimi żyłkami dłoń. Wzięła go za ramię i posadziła na krawędzi legowiska zbitego z desek i wymoszczonego sianem. Posłusznie usiadł obok, ale nie tak,

jak było w jego zwyczaju, tylko z daleka. Płomień z pięćką przedzierał się przez szparę w drzewczkach i rzucał światło na jego twarz i na pajęcżą sieć, którą tkal przebiegając łapkami pracowity pajak. Praczycha przyglądając się przygnębionej twarzy Stepana, od którego doznała tyle dobrot, zamyśliła się. Po chwili chudą dlonią pogładziła szorstki policzek Stepana.

— Nie ogoliłeś się dzisiaj, Stepane. Ryza broda ci rośnie jak u Niemca. Co się stało, Stepane, że kapcaniejesz? Coś cię trapi na fest, skoro nawet ci się ogolić nie chciało.

— Nie chciało... Jej Bohu, nie chciało. Pierwej, jak szedłem tu do ciebie wtedy, jak ty byłaś taka zalekniona, taka niedorajdna, taka chuda, taka nie uczesana, patlachata, a zamiast włosów na głowie miałaś niby grochowinie, wleczas miałem choćę być podobnym do milicjantów co służyli Niemcom. Chciałem być takim dorodnym, jak oni. Chciałem, jakby ci to powiedzieć, tylko nie pogniwaj się — upokorzyć cię. Przecież ja cię, Praczycho, przyjąłem dla interesu, a trochę w razie potrzeby za osłonę, ale najwięcej dla zysku, a twoje ścierwo wcale mnie nie obchodziło. Ja tylko myślałem jakby najwięcej złota od ciebie wydębić. Czort jego wtedy wiedział, że wkrótce przestaną mnie twoje pieniądze obchodzić, a tylko co innego będzie miało sto razy większą wartość. Czy ty wiesz, Praczycho, że tylko za Chymką Pacholczychą ja tak ganiałem, jak teraz za tobą?! Ale kiedy ganiałem za Pacholczychą, miałem dziewiętnaście i pół roku. Byłem młody i ona jak rozkwitająca róża, ale teraz kończę za miesiąc trzydzieści dziewięć lat. Mam dorosłe dzieci i syna, którego kości ziemia gdzieś przykryła. Dwie dorosłe córki i wnuka już miałem, którego, na szczęście, Bóg zabrał do siebie, żeby znajdą na tym świecie się nie poniewierał. Trzydzieści dziewięć lat, to już taki wiek Praczycho, który każe się zastanowić nad swoją przeszłością, a moja przeszłość była głupia i zawadiacka. Żyłem jak jakiś nie wiadomo kto, czasem jak kocur, a częściej jak wilk. Mam ja, Praczycho, niejedno na sumieniu... Oj, mam! A najgorzej, że teraz chciałbym o tym zapomnieć, a tu nikak zapomnieć nie można, szczególnie teraz, kiedy pomyślę, że wkrótce wejdą ci, którym dużo czego jestem winien. Oj, winien, Praczycho, winien, a najgorsze jest to, że tobie, Praczycho, przyniosą wyzwolenie, a mnie być może wieczną niewolę, albo i jeszcze coś gorszego. Mogą mnie nawet powiesić.

Praczycha odwróciła głowę. Jego słowa napawały ją lękiem. Uważała go przecież za człowieka, który nigdy nikomu krzywdy nie zrobił; przecież mógł zabrać jej pieniądze, a ją zgładzić lub wygnać, a jednak tego nie zrobił. Wiedziała, że wygnał pierwszą żonę, że miał potrójne dzieci, że obecną żonę Ulitę też traktuje tylko jako siłę roboczą, że jest dla niej twardy, że jest pazerny na pieniądze, że chce być bogaty nie przykładając się do ciężkiej pracy. Ale są to sprawy, które nie powinny go napawać takim lękiem... Ci co przyjdą, coż mogą do niego mieć? Gospodarke ma niedużą, do band nie należał, a że jego syn gdzieś poszedł i zginął, to kto to może wiedzieć, gdzie zginął i za co zginął? Zginął i już...

— Setki, tysiące, miliony zginęły. Czy ktoś będzie się doszukiwał, za co zginęli? Czy ukarają kogoś za to, że moja rodzinę zamordowali, że ja tyle czasu konatam w głodzie, chłodzie i w trupach, że obdarli mnie ze wszystkiego, że już prawie rok siedzę, w tym grobie za życia? — mówiła szybko, patrząc z wielkim niepokojem na jego zmienioną twarz. Gdzieś wysoko jakiś ptak załopotał skrzydłami i coś jakby zaskowytało i ucichło.

— Chyba myszółów złapał małego zająca, a ten biedaczek aż zapiszczał. Ot, niclichą ma ten ptak siłę, zajączka w trymiga pazurami poderwie i tylko zwierzaczek piśnie i już po nim — powiedział Stiopa, zamyślony wstając z posłania. — Nikomu się nie chce umierać, nawet takie tchórzliwe stworzenie jak zając chce żyć; aż nieborak zapłakał jak dziecko. Ale co tam zając, każde boskie stworzenie nie chce umierać. Każde boskie

stworzenie piszczy po swojemu, gdy przedśmiertna chwila przychodzi — mówił Stiopa cicho, jakby sam do siebie.

— Ale co my na to poradzimy — odezwała się Praczycha przycmębiając. — Bóg ten świat niby tak urządził, żeby jeden żył się drugim. Ty, Stepane, zabijasz świnie, owce, ja — kurę, koguta. Ilez to ja kur, kaczek, gęsi za swego żywota zjadłam? I nawet ani razu nie pomyślałam, że tym stworzeniom, gdy je zarzynają, tak samo boli jak nam ludziom. A ty w tej chwili litujesz się nad zajęczkiem, którego niby Bóg przeznaczył na pokarm dla orła. Coś tam u góry niedobrze wyszło — podniosła palec do niskiej powały, z której zwisały strzępy zaschniętego mchu.

— Prawda, Praczycho, prawda. Mnie wcale o tego zajęcia nie chodzi, powiedziałam tylko tak sobie; może to wcale nie zajęcie, a tylko czyjaś dusza tak skowycze. Kto to może wiedzieć, co w takiej leśnej głuszy się dzieje.

Pokiwała głową ze smutkiem i rzekła:

— Stepane, gdybym cię nie znała, tobym pomyślała Bóg wie co, że ty coś nie tego, że ty wciąż mówisz nie o tym, co byś chciał powiedzieć. Ty wciąż zagadujesz, ty wciąż motasz tak, jakbyś chciał coś wyrzucić z siebie, a się boisz. Mnie nie masz się czego bać. Za bardzo jestem ci wdzięczna, żebym mogła ci kiedykolwiek coś przykrego zrobić — pogłaskała go po ramieniu.

— Może i tak, a może i nie. Ja tam babie najmądrzejszej nie wierzę, choćby to nawet była sama wielka Praczycha, z którą sam diabeł mnie spletał, przez którą zaniedbałem własne gospodarstwo, własną gospodynię; co prawda jej spódnica mnie nie pachnie, ale też i nie śmierdzi. Od biedy po ciemku i jej zadnica mi się czasem do czego przydaje. Nocą każdy kot jest czarny... — powiedział bez uśmiechu.

Pokręciła głową, zamyślona, choć była zadowolona, że zdołała go ometać, pomimo przeogromnej zmiany jaka zaszła w jej urodzie. Ucieszyła się nawet, że Stiopa wyznał jej swą miłość, która dawała jej większą szansę na przetrwanie, choć to wyznanie nie było delikatne, tylko twarde, chłopskie, prostackie. Takie same, jak sam Stiopa, co nie jest ani delikatny, ani miękki — tylko urody Bóg mu nie poskąpił, tylko że za tą urodą kryje się dziwne serce — ale to już jest inna sprawa. Tym bardziej była zadowolona, że bez czarów, bez wielkich starań zdołała tę dziwną naturę przywiązać do siebie, i to mocno, skoro nazwała ją wielką Praczychą i jakby miał żal do niej, że przez nią zaniedbuje wszystkich i wszystko. Myślała tak plotąc swoje włosy, które za ten czas bardzo długie urosły.

Stiopa nagle odsunął się od ściany, położył obok niej i zaczął twardymi dłońmi ugniatać jej piersi, aż do bólu, i patrząc jej w oczy powiedział z rechem:

— Oj, Praczycho, gdybyś wiedziała, o czym ja myślę w tej chwili, to byś podskoczyła aż do powały.

— O czymże innym, Stiopa, możesz w tej chwili myśleć, niż o tym, o czym myśli każdy silny parobek leżąc obok baby, choćby ta baba była innej wiary, czy ubezwłasnowolniona, bo przecież jestem ubezwłasnowolniona. No nie, Stepane? Bo gdyby było inaczej, siedziałabym nie tu, w tym podziemnym grobie, tylko w swoim domu, pilnowałabym olejarni, gremplarni i krzyczałabym na swego Jankla. A ty, Stepane, nie miętoszyłbyś moich piersi, jakby ze złością. Czy nie tak, Stepane? — powiedziała jakby niechcąco, gdyż była zaskoczona jego słowami, które w chwili jego pieszczoł nie przypadły jej do smaku. — Wiesz co, Stepane? — objęła go ramionami, które pod jego opieką stały się znowu okrągłe i jędrne. — Zaraz ci powiem, jak do mnie mówił mój Jankiel, kiedy tarł mi moje piersi — zaśmiała się cichutko.

— Nu jak! Powiedz, nie wymyślaj, tylko prawdę powiedź! — pocałował ją w usta, klując ostrym nieogolonym zarostem.

— Mój prosił: Soskele, królowo moja, duszko moja, królestwo moje, chodź tu do mnie... Chodź, czekam niecierpliwie na ciebie.

— A ty co? Kazałaś mu czekać?

— Jak czasem. Niekiedy, jak miałam ochotę, szłam do niego od razu, a czasem odwracałam się do ściany i udawałam, że śpię — zaśmiała się, choć specjalnie śmiać jej się nie chciało. I raptem, jakby się zagubiła, jakby jej natura doznała jakiejś przeogromnej zmiany. Sama już nie była pewna, czy żartuje, czy mówi prawdę, choć wiedziała, że czyni swemu Janklowi przeogromną krzywdę odsłaniając ich intymne małżeńskie sprawy, lecz mimo wyrzutów, które jakby zakłóciły jej wewnętrzny spokój, nie była w stanie przestać wtajemniczać Stepana w swoje poprzednie życie małżeńskie, które, jak była pewna, już nigdy nie będzie takie samo. Bo w jej naturze, jak i w ciele zaszły przeogromne zmiany, ponadto chciała jakby nauczyć Stepana, jak ma się do niej odzywać, kiedy ich ciała są blisko siebie.

— A czemu to on, twój Prac, do ciebie nie wlaźł, tylko do swego legowiska zapraszał? Czy taki zwyczaj, że Icek musi jarmułkę na swoją Surę rzucić, a potem ją prosić, żeby do niego przyszła? A czy nie lepiej u nas, u muzyków, że pokąd są młodzi i do tej roboty skorzy, śpią na jednym legowisku; nie musi muzyk prosić swej baby, żeby mu pozwoliła zrobić to, na co ma ochotę.

Niezadowolona, tym razem z siebie, uśmiechała się niezszybczy, pozwalając mu nieprzystojnie się wygadać. Radość, której przed chwilą doznała, jak jej się zdawało, ze swego zwycięstwa nad tym prostym acz bardzo przystojnym osiłkiem, którego ciało stało się dla niej bliskie, okazała się nieuzasadniona.

Poczula niesmak i wielki wstyd, że nie zdołała zachować godności w tym okrutnym czasie, w którym się znalazła, i że zwątpiła w swoje szczęście, w swój spryt, który pomógł jej przejść przez to piekło i jakoś się utrzymać przy życiu. Lecz czy to ocalenie było warte tego poniżenia? Bo czyż to nie poniżenie leżeć w ramionach tego osiłka, który stał się panem jej życia i śmierci, i którego, pomimo obcowania z nim niemalże ponad rok, nie poznała ani na jotę? Owszem zna jego silne ciepło, jego muskularne ramiona, lecz nie zna jego duszy. Nie wie, co myśli, gdyż nigdy nie otworzył przed nią samego serca, nie powiedział jej, co go gnębi, jaki dźwiga ciężar, choć jest pewna, że coś go gnębie, że się czegoś boi — nie mniej niż ona.

Po chwili odgoniła te przykre myśli. Nad czym się tu zastanawiać? Zdąży jeszcze umrzeć, śmierć nie ucieknie. Prędzej czy później nadejdzie, a życie nawet w tych mrokach, w tej ziemi jest piękniejsze niż tam, skąd już nie ma powrotu. Bo nawet w najgorszej katordze zdarzają się chwile ukojenia. Czy moim ukojeniem nie był ten osilek, który pomógł mi jakoś do tej pory żyć?

Więc po co te wyrzuty sumienia? Po co ta pogarda do samej siebie? Co komu przyjdzie z tego, gdybym umarła lub żyła w cnotce? Komu by się moja cnota przydała? Może memu Janklowi, lecz kto mi zaręczy, że żyje, a gdyby nawet, czy on nie miałby prawa, tak samo jak ja, związać się, może nie duszą ale ciałem, z jakąś kobietą, która by pomogła mu przetrwać?

Być może, jak się z nim kiedyś spotkam na tym lub na tamtym świecie, wszystko mu dokładnie opowiem. Nic nie zataję. Opowiem mu, jak się poniewierałam, jak we wszystko zwątpiłam, a nawet o Bogu przestałam myśleć. Przyznam mu się, że żyłam ze Stepanem, że przywykłam do jego ust, do jego ramion, że nie on, mój ślubny mąż, ojciec naszych dzieci pomógł mi wytrwać, tylko ten prosty muzyk, któremu zawdzięczam, że nie zginiłam we własnych odchodach.

Wybac mi, mój mężu, jeżeli nie zachowuję się teraz godnie, to dlatego, że w tym okrutnym czasie znalazł się ktoś, kto w zimowych nocach, kiedy wicher w lesie wyl jak dusze potępione, nie pozwolił mi skonać ze strachu.

Zofia Grzesiak